

Arkady Sauski: Dom Kruka (Opowiadanie)

Nieznajomy płynnym ruchem ściągnął kaptur, ukazując swoje oblicze. Trudno było ocenić jego wiek



Nieznajomy płynnym ruchem ściągnął kaptur, ukazując swoje oblicze. Trudno było ocenić jego wiek - opowiadanie ukazało się w najnowszym numerze Teologii Politycznej Co Miesiąc

Na pierwszego trupa natknął się blisko starego młyna. To był mężczyzna, pewnie chłop, wnioskując po biednej, lnianej koszuli. Leżał przy trakcie już parę dni, obmywany przez deszcz. Z wysokości siodła Łowca ocenił, że zabić musiało go uderzenie topora albo silne cięcie mieczem. Panujące wokół zimno jeszcze przez jakiś czas będzie tłumilo smród i rozkład.

Kobieta leżała trochę dalej. Łowca, podjeżdżając, spłoszył zmarzniętego psa jedzącego jej twarz. Nie została zgwałcona, tylko zabita na miejscu – zapewne podróżowała z tamtym martwym chłopem, żona bądź córka. Mężczyzna zatrzymał atakujących, gdy ona uciekała. Daleko nie zaszła – ustrzelili ją z łuku. Napastnicy wyrwali jedną ze strzał z ciała, druga się złamała, gdy upadło. Kobieta runęła na bok, ale psy odwróciły ją na plecy, aby dostać się do delikatnego mięsa twarzy i piersi.

Niestety, deszcz zmył zbyt wiele śladów. Łowca nie był w stanie ustalić, ilu mogło być napastników, czy byli pieszo, czy – konno. Możliwe, że z tą parą kmieci podróżowały też dziatwa lub zwierzęta. Jeśli tak, to zapewne żyły: handlarze niewolników dobrze płacili za dziewczynki do zamtuzów i za chłopców, aby ich wysłać jako sługi do domów kupieckich na południu. Zwierzęta w Żelaznych Górach były z kolei zawsze bogatym łupem.

Deszcz się nasilił. Świat miał tutaj ciemną barwę – Łowca popatrzył w górę, na szczyty mające teraz kolor granatu, tonące w ciężkich chmurach. Trakt tu już nie był brukowany – gdy Łowca minął grubo ciosany, kamienny krzyż przed dwoma dniami, droga zmieniła się w błotniste bagno. Koń powoli ciągnął nogi, a mężczyzna czuł wilgoć w każdej części ciała. Kaptur, pod którym ukrywał głowę, był już tak przemoknięty, że niemal cięższy od niej samej.

Żelazne Góry nie były przyjaznym miejscem, to nie są piękne szczyty, takie jak na dalekiej północy, pokryte śniegiem i przecinane zielonymi dolinami. Tutaj góry były ciemne i wilgotne, a zieleń – spłowiała i smagana przez deszcz. Trakty wiły się w labiryncie przełęczy i dolin,

prowadząc do lichych karczm, skromnych wiosek, których mieszkańcy starali się jakoś żyć z uprawy tych nielicznych spłachetków ziemi nadających się do tego. Prowadziły też do innych miejsc: do potężnych, kamiennych mostów wzniesionych przed wiekami, do zapomnianych twierdz, teraz opuszczonych i martwych, i do kopalń, głębokich kopalń żelaza, z którego słynął ten region w czasach Starych Królów. Teraz jednak skrywały nie cenny surowiec, a jedynie mrok i koszmary.

Łowca spiął konia, ruszył dalej. Trakt podążał wzdłuż rzeki, może więc doprowadzi go w końcu do jakiegoś zajazdu, obozu lub wsi. Miał czym zapłacić za gościnę.

Deszcz już ustawał, a powietrze stawało się cieplejsze i bardziej przyjemne, gdy wartownik dojrzał jeźdźca zbliżającego się do obozu. Samotny człowiek w kapturze, powoli jadący konno traktem ciągnącym się wzdłuż rzeki. Nie widzieli na szlaku nikogo już od kilku dni, dlatego ten nieznajomy natychmiast wydał się widokiem dziwnym i niepokojącym.

Wartownik czym prędzej posłał po jeszcze dwóch wojów i łucznika, tymczasem nieznajomy zjechał z traktu i ruszył w kierunku obozu. Powoli, jakby oceniając, czy obóz wciśnięty w szeroką polanę między rzeką a traktem stwarza dla niego jakieś zagrożenie. Wartownik strząsnął z czarnego płaszcza krople deszczówki, odchylił go lekko lewą ręką, ukazując pochwę z mieczem. Widząc to, nieznajomy puścił wodze konia i rozłożył ręce szeroko na bok, znanym we wszystkich regionach królestwa gestem oznaczającym brak wrogich zamiarów.

Wartownik pokiwał głową, zbliżył się do mężczyzny na koniu i popatrzył nań spod hełmu.

– Niech będzie pochwalony! – rzekł

– Na wieki wieków – odparł mężczyzna.

– Co Was sprowadza do nas, dobry Panie?

Nieznajomy popatrzył na namioty, krzątających się po obozie wojów i chorągwie.

– Srebrny kruk na czarnym polu – odrzekł w końcu – widzę sztandar Guntrama von Raven, czy to obóz Jego Godności?

– Syna jego, Lorda Rajmunda... ale nie odpowiada się pytaniem na pytanie...

– Wybaczcie.

Nieznajomy płynnym ruchem ściągnął kaptur, ukazując swoje oblicze. Trudno było ocenić jego wiek, twarz zapewne była kiedyś bardzo przystojna, teraz jednak obraz psuła blizna, szrama po cięciu blisko ust po lewej stronie. Prawe ucho również nosiło pamiątkę, a właściwie to

samo było pamiątką po jakiejś walce – przycięte i poszarpane, jakby ktoś chciał temu mężczyźnie rozciąć głowę niczym melon na pół, ale chybił. Włosy nieznajomy nosił niedługie, tak by akurat nie dało się za nie chwycić w pojedynku.

– Nazywam się Erin. Jestem Łowcą.

Na dźwięk tych słów wartownik pokiwał głową. Już gdy się zbliżał, ocenił mężczyznę: dojrzał rękojeść miecza wystającą spod ciemnego płaszcza, rękawice bez palców nabijane ćwiekami, połączone z karwaszami na przedramionach, a także niekształtny pakunek przy siodle – zapewne kuszę owiniętą w pled, aby nie zamokła. Pod płaszczem nieznajomy na pewno nosił jeszcze więcej narzędzi do czynienia krzywdy bliźniemu swemu.

– Ja jestem Marc, dziesiętnik – odparł wartownik, nie tracąc rezonu. – Czego u nas szukacie, Mistrzu?

Łowca sięgnął do torby blisko siodła, wyjął z niej pakunek skrzętnie owinięty w materiał. Rozwinął go i w ten sposób ujawnił kilka pergaminów, część złożonych i zapieczętowanych, część już otwartych. Dwa z nich podał dziesiętnikowi.

– Jeden to list gończy, który rozsyłają komturie na południu – rzekł Łowca. – Drugi to list żelazny wystawiony mi przez Jego Świątobliwość biskupa Keretha Gerta, gwarantujący mi swobodny przejazd przez wszystkie ziemie podlegające jego diecezji.

Wartownik obejrzał oba pisma, umiał trochę czytać, a i pieczęć biskupa zdawała się autentyczna.

– List gończy podpisał Jego Godność Lord Raven – kontynuował Łowca.
– Żąda w nim głowy i dwóch palców prawej dłoni tego człowieka, i obiecuje za nie wysoką nagrodę. Mam zamiar mu je dostarczyć.

– Wszystko się zgadza – odparł Marc i uniósł wzrok znad papierów. – To obóz drużyny Jego Godności, a tak się składa, że dowodzi nami jego syn, Sir Rajmund.

– W takim razie chcę się z nim zobaczyć.

– I na co liczycie?

– Na miche kaszy.

Dziesiątnik patrzył jeszcze chwilę na Łowcę. Mężczyzna był zapewne zmęczony, mokry, trochę dygotał w siodle. Owszem: uzbrojony i niebezpieczny, ale okazał pisma i pieczęcie...

– Poczekajcie tutaj – rzekł w końcu wartownik. – Wezmę te papiery i okażę Jego Godności. Jeśli będzie chciał spotkania, doprowadzę Was do niego, ale pod eskortą.

Łowca przytaknął.

Marc odwrócił się i ruszył w głąb obozu, zostawiając przybysza.

Po krótkiej chwili spokoju znów zaczął padać nieprzyjemny, zimny deszcz.

Obóz był tylko tymczasowy. Polana, na której został rozbity, gwarantowała dobry widok zarówno na trakt, jak i na rzekę. Dziesiątnik wrócił szybko i oznajmił, że Jego Godność chętnie spotka się z Łowcą. Było to zaskakujące, ponieważ szlachetnie urodzeni zazwyczaj traktowali Łowców tak jak morderców do wynajęcia, tyle że działających w majestacie prawa.

Koniem Łowcy szybko zajął się jeden z młodych sług kręcących się w pobliżu, a Marc poprowadził Erina do Jego Godności. Obóz składał się z rozbitych namiotów: kilka dużych stojących w centrum, zapewne siedzib rycerzy i zacniejszych dowódców, otoczonych było wieloma mniejszymi, takimi, do których można się jedynie wczołgać po zakończonej warcie, żeby zasnąć, ignorując chłód i wilgoć. Łowca ocenił, że samych wojów musi być około pięciu dziesiątek, dojrzał zbrojnych i łuczników, a także trochę drobnego rycerstwa, którego liczne herby i godła nic mu nie mówiły. Najbliżej rzeki rezydowali kowal, kilka markietanek i obozowe ciury. Zajęli dwa odrobinę większe namioty, pomiędzy którymi mokło niezadaszone, samotne kowadło.

Zbliżali się do centrum obozu. Dopiero teraz Łowca dojrzał i ocenił, kto jeszcze towarzyszył Jego Godności prócz drużyny ojca. Sztandary wbite przed każdym z namiotów zwisały ciężkie i mokre od deszczu, ale Erin i tak rozpoznał barwy zacniejszych chorążych Lorda Ravena, Biała gwiazda na czarnym polu należała do Rodu Roswyn, pędzący czerwony koń na podzielonym ukośnie polu bieli i zieleni był symbolem Parthów, łeb byka przebity mieczem patrzył ze szkarłatnego pola chorągwi Lorda Markinda, wreszcie rycerz z Rodu Bertada wystawił przed swój namiot chorągiew z czerwoną wieżą na złotym polu.

Nie była to więc zwykła wyprawa syna Lorda z drużyną, lecz coś poważniejszego. Łowca nie miał pojęcia, co skłoniło tak zacne Rody do wysłania swych rycerzy wraz z Rajmundem von Raven na wyprawę w Żelazne Góry, gdzie powitać ich mógł jedynie chłód i deszcz.

Z namiotu Roswynów wyszedł młody rycerz o blond włosach i nieruchomym spojrzeniu. Przy boku nosił miecz, a w dłoni trzymał puchar, którego zawartość wylał do dużego ogniska płonącego w centrum obozu. Wojowie grzejący się przy niewielkich paleniskach mogli jedynie pomarzyć o ciepłe bijącym od wielkiego płomienia przy namiotach rycerzy.

Dziesiątnik zaprowadził Erina do jednego z rycerskich namiotów, przed wejściem do którego zwisała czarna chorągiew.

– Wasza Godność, przyprowadziłem Łowcę! – zakrzyknął dziesiątnik.

Po chwili z namiotu wyłonił się Rajmund von Raven.

Był młodym mężczyzną o grubo ciosanych, twardych rysach twarzy, które odziedziczył po matce – Lady Gwyness ze Stoke’ów. Dobrze zbudowany, masę ciała dodatkowo podkreślały waciak, kolczuga i nałożona na nie koszulka z barwami Rodu. Bogatego pasa nie obciążał miecz – Jego Godność czuł się bezpiecznie we własnym obozie, nawet w obecności nieznanego.

Ocenił wzrokiem zakapturzoną postać Łowcy.

– Panie – rzekł dziesiętnik – oto Mistrz Erin...

– Słyszałem o Was, Mistrzu, owszem! – przerwał mu Sir Rajmund – Czy skorzystacie z mojej gościny? Podobno Wasz oręż jest równie ostry jak dowcip.

– Mój dowcip jest w tej chwili równie pusty jak mój żołądek – odparł Łowca, krzywiąc twarz w uśmiechu. Blizna na policzku wydała się jeszcze dłuższa

– Ha! – Jego Godność klepnął się dłonią w udo – Dobrze Was widzieć! Dziesiętniku, przygotuj ciepłą strawę dla naszego gościa i dołącz do nas. Zwalniam cię na dziś ze służby.

– Wasza Godność – a broń Mistrza, czy...?

Sir Rajmund zerknął na rękojeść miecza wystającą spod płaszcza przybysza, grube karwasze, z których ten na prawej ręce był dodatkowo wzmocniony żelaznymi płytkami. Dojrzał też pod jego płaszczem pas z nożami do rzucania, przecinający skosem pierś.

– Mistrza przyjmował wcześniej biskup Gert – rzekł Jego Godność – Jeżeli Jego Świątobliwość nie zląkł się brzytwę naszego gościa, ja raczej także nie narobię w pantalony. Zapraszam do środka Mistrzu, zapraszam!

Wnętrze namiotu było ciepłe i suche, na tyle że Łowca zdjął płaszcz i powiesił na jednym ze stojaków wskazanych przez Jego Godność. Sir Rajmund gwizdnął przez zęby na widok kolejnej broni Łowcy – długiego zakrzywionego sztyletu zawieszzonego ukosem na plecach, rękojeścią do dołu.

– Doprawdy, środków przymusu Wam, Mistrzu, nie brakuje!

Lord Rajmund nie wiedział o ostatniej broni, tej najbardziej ukrytej. Lewy karwasz był czymś więcej niż tylko dobrą ochroną dla dłoni, nadgarstka i przedramienia. Skrywał także wąskie ostrze, jednym ruchem wysuwane z karwasza, aby zadać szybkie, śmiertelne pchnięcie w wątrobę, gardło lub pod pachę. Choć ta broń była najmniejsza w arsenale, wymagała najwięcej finezji i umiejętności.

– Łowca nigdy nie powinien stracić broni – odparł Erin. – A gdy jakąś straci, musi sięgnąć po kolejną.

– Chociaż zdejmowanie tego wszystkiego do snu trwa chyba dłużej niż sama drzemka.

– W wychodku też nie jest najwygodniej, zaręczam.

Rycerz ponownie się zaśmiał, chociaż ta uwaga nie należała do zabawnych.

Łowca spoczął na jednym ze stołków. Namiot był w środku urządzonej niczym niewielka komnata: ziemię usłano miękkimi kobiercami, stało tu proste, drewniane biurko pełne map, papierów, piór i inkaustu; kilka stołków i stojaków na zbroje i oręż, a także duży kufer, z którego Jego Godność właśnie wyciągał dwa kubki i butelkę wina.

– O dobytek się nie obawiajcie, Mistrzu – mówił Sir Rajmund, nalewając. – U nas nikt Wam nic nie ukradnie, a ostatnią kurwę, co próbowała, Marc powiesił osobiście – podał Łowcy kubek. – To dobry oficer, choć swoje lata ma. Późno się zaciągnął, ale chyba dożyje do tego, by otrzymać godność setnika.

Wzniesli kubki w niemym toaście i upili trochę.

– Ufam mu o wiele bardziej niż tym cuchnącym olejkami rycerzykom, których dali mi chorążowie ojca.

Łowca milczał, powoli upijał wino. Sir Rajmund ewidentnie chciał się wygadać, zrzucić z siebie część tego, co w nim narastało. To mogło dać o wiele więcej informacji niż natrętne pytania.

– A więc przyjechaliście po łeb Garrisa Gastana? Bardzo mnie to cieszy, ale nie prorokuję Wam sukcesu. Gastan nie jest już tylko szlachetnie urodzonym banitą, ale zagrożeniem, że tak powiem, regionalnym.

– Jak to?

– Ano tak: bandy zbiera. Przeczuwał, że król zabierze mu majątek, to sprzedał wszystko, nim Jego Wysokość objął go infamią. Teraz za te pieniądze, które ma nie wiadomo gdzie, zgaduję, że u jakichś bankierów z południa, kupuje przychylność górskich band, najemników czy prostego chłopstwa. To akurat najchętniej się doń przyłącza. Ma już chyba setkę ludzi, niekarnych obdartusów, ale jednak. Zjeżdża z gór i łupi okoliczne ziemie, porywa ludność i sprzedaje ją handlarzom niewolników, grabi karawany... czyni to wszystko, by król ugiął się i przywrócił go do łask. Chce zmęczyć Jego Wysokość. Ha! Lord Markind wysłał nawet w góry chorągiew rycerstwa... przepadła gdzieś na przełęczach, zniknęła. Wtedy mój ojciec zaproponował Jego Wysokości pomoc. Poprzysiągł przywrócić w Żelaznych Górach królewski pokój.

Łowca wiedział już od biskupa, że Gastan zbiera bandy, uważał jednak, że ściga zwykłego herszta, tymczasem wpadł w sam środek niemal jawnej rebelii. Guntram von Raven, Siwy Kruk, był jednym z największych generałów w czasach Wojen o Tron przed dwudziestu laty. Skoro sprawą zajął się ktoś jego autoramentu, musiała ona wyglądać nie najlepiej dla stabilności królestwa.

Sir Rajmund przechylił swój kubek i ponownie nalał sobie i Łowcy. W międzyczasie przybył Marc z miską gulaszu i kawałem kurczaka dla gościa.

– Najgorsze jednak wydarzyło się przed dwoma tygodniami. Jedna z band Gastana napadła orszak na zachodzie. Zabili strażę, sługi zakuli w łańcuchy i popędzili w góry. Ale w tym orszaku była też moja siostra. – Spojrzenie Jego Godności stało się teraz nieprzyjemne i zimne. – Te łachmyty szybko zdały sobie sprawę, kogo mają w ręku, i wzięły ją jako zakładnika. Ojciec otrzymał list od Gastana, w którym pisze on, że zabije moją siostrę, jeśli podejmiemy próbę walki z jego oddziałami. Pierwotnie planowaliśmy zablokować wojskiem przełęcz, odciąć szlaki z gór i poczekać, aż uwięziony zimą Gastan bez pożywienia zamarźnie i się podda. Teraz jednak zmieniliśmy zamiary: Drużyna ojca może poruszać się szybciej, wytropić tego zdrajcę, osaczyć i zabić. Błąkamy się jednak po tych górach jak ślepcy...

– Wasza Godność – Łowca delikatnie wszedł rycerzowi w słowo – nie chcę narazić się na Twój gniew, Panie, ale czy nie myśleliście, aby negocjować zamianę jeńców? Okup?

– Myśleliśmy, ale moja siostra jest starsza i tym samym...

– ...i tym samym dziedziczy godność ojca przed Tobą, mimo że jest kobietą, jeniec zbyt cenny, żeby go puścić – dokończył za niego Łowca, a widząc zaskoczoną minę Sir Rajmunda, dodał – Znam się co nieco na prawach i tradycjach panujących w poszczególnych Rodach, w tym w Rodzie Raven, Panie.

Zapadła chwila ciszy. Sir Rajmund dopił kolejny kubek wina, Łowca odstawił miski po jedzeniu.

– Powiedźcie, Mistrzu – rzekł w końcu – ile obiecał Wam Jego Świątobliwość za głowę Gastana?

Łowca zajrzał do kubka i odparł:

– Konkretnie za głowę i dwa palce prawej dłoni. Oferuje dwanaście złotych koron, ale list gończy podpisał Twój ojciec, Panie, nie biskup.

– Chwyta się brzytwy – podsumował rycerz.

Profesja Łowcy pojawiła się dwadzieścia lat temu. Królestwo było wyczerpane dopiero co zakończonymi Wojnami o Tron. Padlinożercy ucztowali na polach bitew, wilki atakowały bezbronne orszaki i karawany, a prosty lud cierpiał głód i nędzę, na dodatek nękaną przez

bandy maruderów, dezertersów i najemników, bezrobotnych po długiej wojnie. Ponieważ nie mieli dość wojsk, aby opanować sytuację, najsilniejsi baronowie, dziwnie w tym przypadku jednomyślni, rozpisali nowe prawo. Głosiło ono, że każdy, kto przyniesie lokalnemu burgrabiemu głowę poszukiwanego przestępcy, otrzyma nagrodę, bez względu na swoje pochodzenie lub majątek. Wkrótce los uśmiechał się ironicznie, ponieważ wiele band zaczęło mordować się między sobą, a najbardziej bezwzględni spośród nich, a nieposzukiwani jeszcze za swoje zbrodnie, poczęli przynosić namiestnikom i burgrabiom głowy swoich hersztów i współtowarzyszy. Wkrótce okazało się, że człowiek obeznany z wojną i krwią może ściganiem przestępców całkiem godziwie zarobić na spokojną starość... o ile oczywiście jej dożyje. Profesjonalni najemnicy, rycerze bez majątku posiadający jedynie swój miecz i władające nim ramię, czy zwykli mordercy, stali się szybko karzącą ręką sprawiedliwości, przystrajali bramy miast głowami poszukiwanych.

Wkrótce zaczęto ich nazywać po prostu Łowcami.

Erin pochodził z drugiego pokolenia Łowców. Wielu z nich brało sobie bowiem wychowanków: sieroty, miejskich złodziejasków, młode dziewczęta chcące uniknąć gwałtów lub podłego losu kurwy w którymś z miast lub twierdz. Łowcy wpiery wykorzystywali ich do pomocy w swoich zadaniach, a tych, którzy tę pomoc przeżyli i wykazali się umiejętnościami, szkolili w swojej profesji.

Przeczytaj całość kupując TPCM nr 2

Arkady Sauski

Przeczytaj więcej o nowym numerze

Przeczytaj wstęp do numeru

Przeczytaj spis treści